

JEŚLI RADIO ZNANYCH
FIRM

TELEFUNKEN

PHILIPS - HORNYPHON
KAPSCHE BATERIJE IN.

TO

TYLKO

Z
SAŁONU

K. RUSZKOWSKIEGO

MARSZAŃKOWSKA 117, tel. 6.36-50 gramofony
płyty HARMONIE WIOSKIE instrum. muz.Ceny
fabryczne

Marcin Podemski

Lukrecja Borgia niewinna!

Nowaczyński i Jossset o córce Aleksandra VI

Paryż, w styczniu 1938

Ostatnie czasy odznaczają się silnym rewizjonizmem historycznym. Z tych, których dawniej uważano za bohaterów, czyni się prawie rzeźmieszków. Wybiła się za to typy spod ciemnej gwiazdy. Są w dziejach postaci, o których trudno wyrobić sobie sąd. Fachowi historycy nieraz krąco-wo różnią się w swych orzeczeniach o tych postaciach. W tym położeniu jest przesiąknięta rodziną Borgiów, którą przez kilka wieków zgodnie miano za rodzinę zbrojników i rozpustników. Aleksander VI i jego dzieci: Cezar i Lukrecja — uchodzili za wcielenie szatana.

Nie będziemy się tu zajmowali naukową stroną tej sprawy, nie będziemy referowali poglądów na nią wybitnych historyków, mimo że ostatnie lata przyniosły sporo ciekawych książek na ten temat, przede wszystkim „Lukrecja Borgia” Franza Funck-Brentano (Bibliothèque „Historia”, éd. Talandier, 1932) i „Histoire des Borgia” L. Collison - Morley'a (Bibliothèque Historique, Payot, 1934). Chcemy jedynie zobaczyć, jak do tej rodziny ustosunkowali się pisarze, poeci.

— Dzieje Borgiów — pisze wyżej wspomniany L. Collison - Morley — miały zawsze urok roman-su policyjnego.

Temat niewątpliwie sensacyjny pociągnął niejednego pisarza. Dawniej Borgiowie ścigali na siebie pioruny potępienia; Victor Hugo pisał o „Lucrèce la monstrueuse” (o potwornej Lukrecji) i sądził, że zabił ją syn, którego chciała otruci.

Inaczej w XX wieku. Za historykami, którzy poczęli nieco inaczej oświetlać historię Borgiów, poszli pisarze. Jak przesadzali dawniej, tak przesadzają teraz. Zawsze a outrance!

Węć np. Pierre de Nolhac, historyk i poeta w jednej osobie, człowiek Académie Française, zmarł przed rokiem w tomie jego poezji p. t. „Poèmes de France et d'Italie” znajduje się sonet „Divae Lucretiae Borgiae” (boskiej Lukrecji Borgii). Oto trzy ostatnie wersze:

— Car on t'adore encor par delà le tombeau,

Borgia très divine et très chaste, qu'illustrent.

Les chansons d'Arioste et les vers de Bembo.

(Albowiem czcimy cię nawet umarłą, boska i przeczysta Lukrecjo, którą wślawiają pieśni Ariosta i wiersze Bembo).

Podobnej opinii o Lukrecji jest nasz świetny pisarz, Adolf Nowaczyński, który w swej sztuce p. t. „Cezar i Człowiek” wystawianej latem b. r. w teatrze Polskim, zrebił po prostu Lukrecję „na anioła”, na niewinne dzieciątko. Fantazja poetycka popełniła Nowaczyńskiego jeszcze o wiele dalej: wysnuł przeduczną baśń, opowiadając o uroczym romansie Lukrecji i... Kopernika.

No cóż, licentia poetica...

Obecnie znalazł się drugi dramaturg, którego zajęły losy tej szczególnej rodziny. Pan André Jossset, autor sztuki o królowej Anglii p. t. „Elżbieta, kobieta bez mężczyzny” (Elzabeth, la femme sans homme), wystawił w małym i przylutym teatrze paryskim „Vieux Colombier” nową, drugą swą sztukę historyczną „Les Borgia, famille étrange” (Borgiowie, dziwna rodzina).

Centralną postacią sztuki pana Jossseta jest Lukrecja, koło której uwiła się sieć intryg i namietności.

Jej ojciec, papież Aleksander VI (pamiętajmy, że jest to schyłek wieku XV, okres rozpasania renesansowego) pragnie utworzyć potężne państwo włoskie, którego centrum byłaby Stolica Apostolska. Lukrecja jest narzędziem w jego rękach. Racja stanu zawsze przeważa nad miłością ojcowską. Aleksander zrywa narzeczeństwo córki z Gasparem, aby wydać ją za Jana Sforzę w r. 1493 (Lukrecja ma 13 lat!) Po 4 latach uwieżnia do małżeństwa i za męża daje Lukrecji Alfonsa, księcia Bisceglie, który w r. 1500 poległ na ręce Cezara, płonącego nienaturalnym uczu-

ciem ku swej siostrze.

Dopiero jako żona Alfonsa d'Este, księcia Ferrary, znajduje Lukrecja spokój. Przez ostatnie lata swego życia (um. 1519) skupia koło siebie poetów i artystów, którzy chwala jej cnoty (Ariosto poświęcił jej kilka wierszy, pełnych admiracji w swym arcydziele „Orlando Furioso”).

Tymi, ostatnimi latami p. Jossset już się nie zajmuje.

Przedstawia jedynie ten okres, w którym Lukrecja co raz zmienia męża. Autor francuski widzi w niej niewiniątko, ulegające woli ojca. Ojciec zaś, Aleksander VI kocha swe dzieci, ciężko jest mu się rozstać z Lukrecją, ale czyni wszystko dla większej potęgi swego rodu. Szczególnie łagodny jest

dla Cezara, mimo, że dostrzega jego niewczesne zapęły. Sam Cezar jest — w oczach p. Jossseta — człowiekiem chorym, opętanym przez demona złej miłości.

Nastawienie sztuki — jak przystoi prawdziwemu teatrowi francuskiemu — psychologiczne. Ale niewątpliwie przeinaczające niejedną rys i Aleksandra i Cezara.

— A Lukrecja?

Ciekawe, że dwóch dalekich sobie skądinąd pisarzy, Nowaczyński i Jossset, jednakowo na nią spojrzeli.

W ich oświetleniu Lukrecja była tylko niewinną ofiarą.

— Jak było rzeczywiście?

Z ram portretu Pinturicchia wychyla się dziecinna twarzyczka złotowłosej Lukrecji.

MEBLE Wykwintne w wielkim wyborze
Polecane
Salon Wytwornych Mebli
St. RADELICKI
Nowy Świat 30 okazyjne pochodzące Koszykowa 67
Pierackiego 17 z zamiany Miedziana 10

TRADYCYJNE

MAŁE

PACZKI

na wagę Cukiernia A. LEŻAŃSKI

MARSZAŃKOWSKA 23

tel. 9.29-05

Jęczy Stokowski

Sztuka w Łodzi

Wycieczka po pracowniach malarskich

Myslałby kto, że w Łodzi życie artystyczne będzie się przedstawiało zupełnie inaczej, niż np. w Warszawie, Krakowie lub Łwowie. Może różnica leży w poziomie, ale jeżeli chodzi o stosunki w łódzkiej sztuce malarskiej, to są one tak jak wszędzie oparte w pierwszym rzędzie na walce.

Walka łódzkich malarzy i rzeźbiarzy jest i walką o byt (nie nowego), i walką o zrozumienie przez najdziwniejszą bodaj w Polsce publiczność, i wreszcie najbardziej ostrą walką osobistą.

Walcą nie tylko moderniści z naturalistami, co jest normalne i co od szeregu lat spowodowało masę bezpłodnych a gwałtownych polemik, lecz także przedstawiciele i wyznawcy poszczególnych prądów między sobą, i to w sposób mało wybredny, ale za to podobno skuteczny.

Zwiedzałem kilka łódzkich pracowni malarskich, rozmawiałem z wieloma artystami i muszę przyznać, że ogólnie wyniosłem raczej nieprzyjemne wrażenie.

Dziwnym trafem pierwszym z moich rozmów był malarz - konstruktywista, dla którego „cała pokubistyczna sztuka nie jest obca”. Trudno mi było dowiedzieć się od niego czegoś o tym, co się w Łodzi dzieje, bo najniebezpieczniej zaczął, z całą zresztą znajomością rzeczy, tłumaczyć mi, co to jest konstruktywizm i surrealizm, nie pozwalając po prostu zwrócić rozmowy na właściwe tory.

Oczywiście nie będę podawał przykładów tej całej rozmowy, czytelnik z jednej strony nie charakteryzuje ona ani trochę tamtejszego środowiska, a z drugiej jest już mocno, ale to mocno nieaktualna.

Nawiasem trzeba stwierdzić, że łódzcy moderniści mają olbrzymie oparcie w tamtejszym Instytucie Propagandy Sztuki, będącym filią warszawskiego IPS-u i mającym z nim te same wytyczne programowe.

Potem byłem w typowej malarskiej pracowni, do której idzie się naprawdę okropnymi schodami, na okropnie brudnych strychach i po ominięciu komórek i góry do wieszania bielizny, natrafia się wprost na sztukę.

W tej pracowni rezyduje profesor - starszek, autor szeregu bardzo miłych pejzaży. Profesor już właściwie stoi poza bieżącym życiem organizacyjno - artystycznym. Niemniej jednak reaguje bardzo silnie na to, że w Łodzi jest sztuka zła i że niemożliwe jest

znalezienie jakiegoś wyjścia z sytuacji.

Następnie odwiedziłem innego, już aktualnego profesora, który mając kilkudziesięciu uczniów prowadzi czynną walkę na kilku frontach. W urzędzie wojewódzkim walczy o subsydia dla swojej „szkoły”. Walczy z modernizmem w ogóle, a w związku z naturalistami z kilkoma innymi bardziej przedsiębiorczymi malarzami i zdaje się jednym rzeźbiarzem wojuje o to, aby on jedynie był uważany za generalnego reprezentanta łódzkiej sztuki. I „aktualny profesor” walczy, bo to leży w jego naturze i to mu daje materialne podstawy bytu.

Widziałem prace jego uczniów. I włosy stanęły mi na głowie. Bo taka „szkoła” jest z całą pewnością zamknięciem dalszej drogi każdemu, kto do „profesora” przyszedł z zapasem dobrych chęci i talentu.

Pierwszy raz spotkałem się z

Róża Jabłkowska

Pod jemiołą...

Migawki świąteczne z Anglii

(Korespondencja własna)

Korespondencja, którą zamieszczamy, dotarła do nas z pewnym spóźnieniem. Podajemy ją jednak, gdyż podaje szereg interesujących wrażeń zaczerpniętych bezpośrednio z życia Anglików, z życia „szarych ludzi” tego kraju, naogół mniej znanego.

Święta Bożego Narodzenia, najmiłsze ze świąt całego roku, ulubione przez dorosłych i dzieci, tu w Anglii nabierają szczególnego charakteru powszechnej radości.

WSZYSTKO SIĘ PRZEBACZA...

Stara paniusia, jakby wycięta z zeszytów powieści, w olbrzymim, starodawnym kapeluszu, w tolim i mitynkach, obladowana prezentami, czeka cierpliwie na pociąg. Termin jego przybycia już dawno minął. Pani zaczyna się niecierpliwić. Drobnym kroczkiem podbiega do uroczystego naczelnika stacji. „Tak, pociąg powinien nadejść” — tłumaczy jej tenże cierpliwie. — Ale spóźni się 40 minut. Dlaczego? Przecież to Boże Narodzenie”. Okrągła, wygolona, typowa twarz syna Albionu powiększa się do kwadratu w szczerym uśmiechu. Pani szybko opanowuje zdenerwowanie i uśmiecha się równo.

W WOOLWORTH
Popularny Woolworth (wszystkie towary do 6 pensów, nie drożej) jest zatłoczony do niemożliwości. Małe

nieś promiennie. Boże Narodzenie, wiadomo! Bagatela, 40 minut i pomyśleć, że nikt nie pisze zażaleń do dyrektora. (W Anglii kolej są własnością prywatnych przedsiębiorstw).

KAŻDEMU PREZENT...

Biedna nauczycielka na emeryturze musi przygotować 200 prezentów dla swych b. uczniów, ich rodzin, własnych siostrzeńców i legionu znajomych. Najdrobniejszy znak pamięci przyjmowany jest tu radośnie i z wdzięcznością. Nikogo nie wyprowadzi z równowagi fakt, że dostanie w tym dniu co najmniej 10 chusteczek do nosa (ulubiony prezent).

Pani Agnes, b. nauczycielka, kupuje tace (pamiętajcie o ang. tea-parties) bardzo tenutkie i z pomocą pedzelka i farb olejnych zmienia biedne Kopciuszki w strojne, wykwintne przedmioty. A jakie są jej inne podarunki? Oto kilka paczek włóczki różnokolorowej, parę godzin roboty i po świątach wszystkie jej przyjaciółki paradować będą z paczkami bezpretensjonalnych kwiatów przy kołnierzach u pań.

W WOOLWORTH
Popularny Woolworth (wszystkie towary do 6 pensów, nie drożej) jest zatłoczony do niemożliwości. Małe

baby, zastawione w wózku przez zaferowaną mamusie przed sklepem, zanosi się od placzu. Drogie małenstwo. Nis ma dla ciebie miejsca w tym mrowisku panów z koszykami, panów w kapeluszach fantazyjnie włożonych na bakier i dzieci, cudnych angielskich dzieci z szeroko otwartymi oczyma, które wchłaniają wszystkie specjalnie tu dla nich wystawione wspaniałości. Coraz ktoś z przechodniów schyli się nad wózkiem, uśmiechnie się i przemówi. Brzdąc znajduje wkrótce sąsiadów, najmniej 10 wózków stoi teraz przed sklepem.

FATHER CHRISTMAS

Starsze dzieci wchodzą do sklepu. Ach, żeby się tylko móc doczekać do czerwonego domeczku, ustawionego w rogu wielkiej hall. Tam Father Christmas w purpurowym płaszczu rozdaje ogromne paczki (wszystkie paczki tylko za 6 pensów). Co to za emocja! Mała Daisy, ta w blond lokach dostaje pieniążek od matki. Buzia zarumieniona z przejęcia. „Yes, darling. Tutaj małenka! Co chciałabyś dostać?” św. Mikołaj otwiera olbrzymią kłajkę, coś w niej zapisuje, potem telefonuje do... nieba i za chwilę uszczęśliwiona mała dźwiga wielkie pudło. Co ono zawiera, niewiadomo. W pierwszy dzień świąt znajduje się ono wśród tylu innych zabawek, obok olbrzymiej pończochy pełnej owoców i słodyczy, tuż przy łóżku dziecka. Papa jest wyraźnie zaambasowany.

BEZ CHOINKI...

Warszawa przed świątami jak zwykle napewno pachniała lasem. Tutaj tylko najzamożniejsze rodziny mogą pozwolić na kupno małej choinki, prawdziwej choinki. Boże drzewko zastępuje tu jemioła lub „holly”, o liściach przypominających bluszcz. Właśnie do natłoczonego autobusu wpadła zziębnięta gospośka z całym pękiem holly, kolczaste liście grożą niebezpieczeństwem dla pających poczekoszek eleganek. Poważny konduktor ostrożnie, w dwóch palcach zabiera bukiety i stawia w kącie przy wyjściu. Pani może dalej rozmawiać z sąsiadką, odbierze swą własność przy wyjściu.

Tak jak wszędzie i tutaj wszyscy kupują w ostatniej chwili. Niezliczone tłumy ludzi zacierają ze wszystkich przedmiotów do centrum. Nie ma pieszych, w przeciwnym kierunku. Szynki aut snują ulicami; agnaly zielone, żółte lub czerwone zwalają na przejeździe czy przejeździe, po nuciście dla pieszych i dla jadących. Na większych, ruchliwych placach Bobby w granatowym gryzku, w białym „lekarskim” fartuchu (na jaką intencję nie wiem, zwłaszcza, że na jeźdźniach panuje straszne błoto), w bawelnianych, białych rękawiczkach.

W Anglii dzień wigilijny jest zwykłym dniem powszednim, sklepy otwarte są do późna, gospośki czynią ostatnie porządki. Ale jest to również dzień poprawy Serwoosa, a więc dzień wigilijny, wieczór Andersenowskiej dziewczynki z zapalnikami, która dopiero w niebie otrzymała swoją choinkę. Wieczór cudnych „Dzwonów” Dickensowskich.

Dopiero, w sam dzień Bożego Narodzenia Anglia weseli się. Dzieci dostają prezenty według życzeń, napisanych wiele tygodni temu niewprawną ręką dziecka, często błędną (sami Angliści śmieją się, że ortograficznie piszą tylko cudzoziemcy). Potem wszyscy składają sobie wzajemnie życzenia. „Merry Xmas”, idą do kościoła; a potem zasiadają do obiadu, często w fantastycznych kostiumach, a już co najmniej w dziwacznych, czapkach. Przy choince wszyscy śpiewają śliczne, melodyjne, stare angielskie koledy. Jakim cudem jedną z najpopularniejszych jest koleda o królu Wacławie, to już pozostanie dla mnie zagadką. A potem do późnej nocy beztroska, szczerza zabawa pod pękiem jemioły. Hej, jak się bawić, to się bawić... 65-letnia babcia walcuje z zapalem ze swym wnukiem. Podziwu godne jest jak do rośli umieją się cieszyć świątami.

POD JEMIOŁĄ

Jemioła wisi wszędzie, w najmniej spodziewanym miejscu, nad lustrem w hallu, bo... przecież panny poprawiają przed nim fryzury, na żyrandolu w salonie przedstawia specjalnie wielkie „niebezpieczeństwo” zwisa z tańca. Biada niewiedzie, która „przypadkiem” pod nią stanie...

Kiedy żonę należy utopić... poucza nas kodeks Hammurabiego

Kodeks Hammurabiego jest najstarszym kodeksem pisanym i pochodzi z czasów poprzedzających urodzenie Chrystusa na z górą dwa tysiąclecia.

Wszystkie kary są oczywiście ogromnie surowe i obliczone na odstraszenie każdego, kto zamierzałby popełnić przestępstwo. Jednak trzeba przyznać, że kodeks ten bierze w obronę słabych przed krzywdzicielami. Przy wymiarze kar kodeks stosuje się do zasady „zab za ząb”, „oko za oko”, a więc „kto wykluje oko bliźniemu ten winien być również pozbawiony oka”.

„Jeśli budowniczy zbuduje dom i dom zawali się, grzebiąc w gruzach właściciela, wówczas również budowniczy winien być stracony, jeśli zaś zabity zostanie tylko syn gospodarza, to śmierć winien ponieść również tylko syn budowniczego”.

Kodeks ten obszernie omawia sprawy majątkowe i osobiste między małżonkami.

„Jeśli kto weźmie żonę, a nie dopełni z nią żadnej umowy, to żona ta nie może być uważana za żonę ślubną”.

„Jeżeli mąż uwłaczać będzie cześć swej żony, która nie schwytana została na przestępstwie, to nawet w wypadku wypędzenia jej z domu, po przyjęciu od niej

przysięgi, że jest niewinna, ma takowa prawo powrócić do domu męża”.

„Jeśli ktoś na wojnie dostanie się do niewoli, a żona jego, pomimo to, że ma utrzymanie z gospodarstwa mężowskiego, przejdzie do innego mężczyzny, to żonę taką należy osądzić i utopić, ale jeżeli gospodarstwo męża nie dawało utrzymania, a żona przeszła do innego — to jest ona niewinna”.

„Jeżeli ktokolwiek ucieknie z kraju, a żona jego przejdzie do innego, to w razie powrotu męża, żona ma pełne prawo nie powracać do niego”.

„Jeżeli żona chce opuścić męża, przytem nie dba o niego, robi dług, nie pilnuje domu, i to zostało udowodnione w sądzie, to jeśli na to jest zgoda męża może ją opuścić, przytem nie od niego nie dostanie, jeżeli zaś mąż nie zgadza się jej zwolnić i sprowadza do domu drugą kobietę, to wówczas ta pierwsza, zła żona, musi pozostać i spełniać obowiązki służebnicy”.

„Jeżeli mąż znajdzie się pod zarzutem, że nie spełnia obowiązków małżeńskich i zostanie mu to udowodnione, wówczas żona ma prawo wziąć pełny posag i wrócić do domu swego ojca”.

„Jeżeli zaś okaże się, że to jest fałszem, który kobieta rozgłasza,

gdyż sama jest winna i nie dba o męża i chce się go tylko pozbyć, to taką żonę należy utopić”.

„Jeśli kto ma żonę i nie ma z nią dzieci i wskutek tego weźmie do domu kochankę - nałożnicę, aby mieć potomstwo, to nałożnica jednak nie śmie równać się z żoną”.

Równanie ciekawe są paragrafy ustanawiające wysokość honorariów dla lekarzy.

„Lekarz, który dokonywał operacji i uleczył pacjenta, lub dokonywał zabiegu nad zagrożonym okiem, również z pomyślnym skutkiem, otrzymuje 10 sekkli srebra, gdy zaś był tylko niewolnikiem, obdarzonym wolnością (wyzwoleniem) — to otrzymuje 5 sekkli, a jeżeli był niewolnikiem, to jego pan obowiązany jest wypłacić mu 2 sekkle srebra”.

Ale — „jeśli lekarz w czasie operacji spowoduje ranę, wskutek której chory umrze, lub w czasie operacji oka uszkodzi je, to za karę zostaje mu odbrana ręka, aby nadal nie mógł szkodzić”.

Jak wysokie były te wynagrodzenia, świadczy to, że za zbudowanie dużego statku płacono wówczas dwa sekkle srebra, czyli lekarz, o ile był wolnym człowiekiem, otrzymywał równowartość pięciu statków.